



MAŁY LEKSYKON POETÓW LUBUSKICH

Sobkowiak

Andrzej K. Waskiewicz

Rocznik 1950, więc – Nowe Roczniki. Ale najgłośniejsi poeci tej generacji są od niego młodszy o kilka lat. Debiutował też stosunkowo wcześnie. Pierwszy wiersz wydrukował w 1967 r., pierwszy arkusz poetycki w 1970. W książce *Ósma dekada. O świadomości poetyckiej „nowych roczników”* (1982) piszę, iż w momencie, gdy wydał pierwszą książkę (*Powieść w odcinkach*, 1974) jego poezja łączona była raczej z formacją poprzednią – Nową Falą. Wiersze te, piszę, „można [...] było odczytać jako kontaminację doświadczeń Nowej Fali i poetyki Orientacji. Wówczas była to jedna z możliwości uniknięcia «choroby powtórek»”. W latach siedemdziesiątych debiutowali równocześnie ostatni autorzy z generacji Nowej Fali i pierwsi z Nowych Roczników. Tym, co ich wiersze łączyło, było - cytuję tę samą książkę - „przesunięcie punktu ciężkości z analizy rzeczywistości na analizę własnej w niej sytuacji”. Z tej perspektywy Sobkowiaka więcej łączyło z nieco starszymi, Stanisławem Gostkowskim i Kazimierzem Nowosielskim, niż z rówieśnikami.

W środowisku było jeszcze osobliwiej. W momencie, gdy formowały się wspólnoty noworocznikowe (Klub 54) on, starszy o parę lat, funkcjonował już na prawach

niemalże klasyka młodej literatury.

Dodajmy też, iż był z pierwszego pokolenia tu urodzonych, i z ostatniego, które edukację na poziomie wyższym musiało zdobywać w innych ośrodkach (ukończył polonistykę na Uniwersytecie Wrocławskim).

Arkusz poetycki Sobkowiaka nosił tytuł *W białej koszuli*. Co to znaczy tłumaczy jeden ze wspomnieniowych tekstów (*Notatki do większej całości*. „Pro Libris” 2004, nr 2): „Dzielił nas, wywodzących się ze wsi (Lasek Odrzańskich i Zawady) wielki dystans do wielkiego świata. Przy pomocy słów chcieliśmy możliwie jak najszybciej przekroczyć wszelkie bariery. [...] Miejscy chłopcy popisywali się. Byli bez kompleksów. Oni wracali do swych domów z łazienkami, kuchniami gazowymi, balkonami na piętrze, planami spędzenia wakacji. Z ławek klasowych w ostatnim rzędzie przypatrywaliśmy się temu z podziwem, ale i tak zepchnięci na pobocze”. Tamże o początkach pisania: „Miałem świadomość, że robię coś wbrew wymogom twardego codziennego życia. Ojciec, matka wiedzieli o tym tysiącokrotnie dokładniej niż mogłem sobie w części wtedy wyobrazić. Bali się o moją przyszłość. O to, co mogą dać mi wiersze. Znali przedwojenną biedę, doznali głodu,

znali ciężkie, niemieckie roboty. I teraz też było im ciężko”.

Poezja jako narzędzie społecznego awansu, tak to można określić. „Poezja - pisze - to było coś wybranego, gdy zawodziły inne możliwości, inne szanse”. Skoro punktem wyjścia był „najlichszy we wsi dom, [...] zwykle dwie izby” to co miało być punktem dojścia?

Otóż, tak można sądzić, owym punktem dojścia miało być bytowanie w sferze kultury wysokiej, z wszystkimi przynależnymi nowemu statusowi atrybutami. Materialnymi także, co tu kryć.

Wtedy, w latach siedemdziesiątych, było to stanowisko raczej rzadkie. Bunt nowofalowy był w swej genezie inteligentki. Poeci z grupy Tylicz wiejskie i małomiasteczkowe pejzaże widzieli raczej w idyllicznej perspektywie. Wyszli stamtąd, ale bytowali gdzie indziej. Rówieśnicy z rozlicznych noworocznikowych grup albo mieli rodowód inteligentki, albo tę problematykę (i zobowiązania) uważali za mało istotne.

Sobkowiak odmiennie.

Odmienny był także stosunek do rozwiązań poprzedników. On nie kwestionował wagi nowofalowych diagnoz, proponował natomiast odmienną perspektywę oglądu. „Docieranie do konkretnego własnego doświadczenia - pisał („Integracje” 1980, cz. VIII) - stanowi jedyną drogę do poznania prawdy o własnej egzystencji, lękach i obsesjach. Jest to droga trudna, najtrudniejsza jaką znam, ale tu tylko jest sposób na kształtowanie kultury własnego narodu”. Rówieśnikom zarzucał „ucieczkę w regiony własnej prywatności”. Jeśli dobrze rozumiem ten program, szło w nim o to, by to, co w wierszach poetów Nowej Fali jawiło się jako zapis realności, wewnętrznej w stosunku do podmiotu, stawało się doświadczeniem wewnętrznym. Nie to jaka jest rzeczywistość, ale – jak ją doznaję i przeżywam. Jestem bowiem jej częścią. A skoro tak, to nie mogę jej odrzucić, uznać za nie swoją; uczestnicząc w niej, przez nią kształ-

towani, równocześnie w jakiś sposób ją kształtuję.

Więc – odpowiadam za nią.

Ale – w jedyny mi dostępny sposób: traktując świat, który doznaję i siebie w nim jako wartość. Przetwarzając go w doświadczeniu wewnętrznym.

Tyle jestem, ile doznaję i na ile wobec tych doznań jestem aktywny.

Da się to zrobić w dwojaki sposób. Przetwarzając doznania lub zapisując momenty olśnień. Te ostatnie wiersze mają bądź to strukturę aforyzmu, bądź migawkowych zapisów doświadczeń. Struktura tekstów pierwszego rodzaju, bywa, przypomina strukturę snu. Rozbudowana, pełna inwersji składnia łączy zapamiętane obrazy, to, co chce w nich zobaczyć podmiot, i to, co z nich wywodzi jako postulat etyczny. Te obrazy bowiem nie są autonomiczne, rzeczywistość nie jest notowana lecz przetwarzana; nie to, że istnieje na tyle, na ile postrzega ją podmiot, ale że ważność uzyskuje tylko wówczas, gdy skłania do działania.

Osobliwie – sytuację podmiotu da się określić przy pomocy starego terminu, którym Andrzej Stawar określał miejsce Broniewskiego: „wychodźca klasowy”. Znaczyło to tyle, że uzyskując nowy status zachowuje w świadomości nawyki i tradycje dawnego. Więcej – świadomie lub mimowolnie – swoje obecne działania przymierza do tamtej aksjologii. Skądinąd, dodajmy, był to także dylemat Przybosia. U Sobkowiaka brzmi to następująco:

*Nauczyłem się nowych słów z których
Wzruszać ramionami
Wydawało mi się najwłaściwsze
do określenia się wśród wielu dni
Starych rodziców schnących na wsi
już prawie zapomniałem
Zastłyszany że nie spotygam żadnych rąk
Że dopiero pierwsze kroki tego
wzgnania zginają mi kark
Nazywam się teraz przechodzień
Słowo niezrozumiałe dla mojej matki
(Ogień)*

Cytujemy tu wersję pierwotną z tomu *Powieść w odcinkach* (1974), w *Wyborze wierszy* (1996) znajduje się wersja odmienna, bardziej uporządkowana.

Po jego stronie znajdują się teraz „wyziwy snów”, „ręce puste”, „dziwaczego kształtu cienie”, „rupiecie”. Ma wprawdzie nadzieję, że zdoła (to z nowej wersji) „powiedzieć kilka słów nienadaremnie / bez obawy że trzeba będzie się wstydić” i

*Nieznane miasto ogniem snu ustalić
Jak i wszystko inne co wynika
Z gardzieli wysiłku
rozpraszającego się ciągle
W nieskończoność życia
Piszącego zuchwałą powieść
Ani jedna rzecz nie jest w niej pominięta*

Innymi słowy – ma nadzieję być użyteczny, w odmienny sposób i działając na odmiennych obszarach. W tamtym systemie aksjologicznym użyteczność wynikała z samej natury pracy i kształtujących się w jej wyniku społecznych powiązań, w tym jego trud wymaga dodatkowych uzasadnień, choć przecież jego mowę po równi „poświadcza pot i łza”.

W klasycznej teorii awangardy uzasadnienia kryły się w społecznym podziale

pracy wewnątrz społeczeństwa-organizmu. Nawet jeśli były to związki pośrednie, to działania wzajem się dopełniały, mając to samo nakierunkowanie na możliwości przekształceń. Organizacja wiersza była projektem przyszłej organizacji społecznej, nowa wrażliwość projektowała przyszłą świadomość społeczną.

Tu wszakże jest raczej świadomość wygnania:

*Król poezji nie wie o czym śnić
Więc uczy się jedynie pokory
Jest przeciw najwyklejszym
królikiem doświadczalnym
W zakładzie powszechnej wyobraźni
Gdzie sukcesywnie rezygnuje
z należnych prymatów [...]
Powoli bogaty strój zmienia na
uniform urzędniczy*

(Król poezji)

To już z innego systemu. Dalej jest bowiem mowa o „nocy płomieni”, „mieczu” tudzież „brodzie” (w której domyślać się możemy brody proroka). To są owe „należne prymaty” (= atrybuty). Romantyczne w swej genezie. Ale, tak naprawdę, to i owa awangardowa koncepcja związków funkcjonalnych wywodziła się z romantycznej nadziei przekształceń (pisał o tym Tadeusz Peiper).

Czy są one możliwe w sytuacji, gdy „nieistnienie [...] wkrada się niezauważalnie” i „cały ten świat [jest] nie do wytłumaczenia”?

Płynna, niestabilna rzeczywistość i podmiot, który notuje jej przejawy, świadomy, że nie do uchwycenia jest i struktura, i zasada.

Ale

*W moim sercu drży cały świat
Nie chcę powiedzieć niczego więcej
(Credo)*

W innym wierszu mówi „wystarczy przejść przez życie tylko tyle”. Przejść – czyli doświadczyć.



Bez wstępnych hipostaz.

Ale rację ma Jan Kurowicki, gdy pisze (w zbiorze *Naczynia osobności. O zjawiskach poezji lubuskiej – przegląd stronniczy*, 1998), iż owo otwarcie na „pełnię świata” znakomicie udaje się, gdy mowa o przyrodzie, „która jakby przylega do ciała barwami, kształtami, zapachami, formami dotyku”. „Gorzej jest – dodaje – ze światem ludzi. Sobkowiak chciałby, aby i tu panował ład form estetycznych, moralnych, uczuciowych. Niekiedy tęsknota za nimi prześwituje w postaci bardzo tradycyjnej i katechizmowej. Niekiedy zaś, po życiowych i społecznych kopniakach, pragnienie owego ładu wyraża się poczuciem niespełnienia, zagubieniem, buntem, ironią, które z nimi są sprzeczne. W wierszach stają się one oznakami konkretnych doświadczeń. Należy jednak uporać się z nimi, a nie poddać się. Poeta wymaga zawsze podniesionej głowy. Odmawia prawa do rezygnacji. Wierzy, że świat jest bogatszy, niż każde jednostkowe doświadczenie”.

Jaki on wszakże jest, tego nie był pewien. Opisywał raczej struktury rozpadowe, jeśli coś budziło jego zachwyt to zjawiskowa uroda świata, nie świat społecznych faktów. Mniemał wszakże, że i przez nie prześwituje ukryty sens, cierpienie zaś nie tylko jest, ale jest po coś, coś go musi uzasadniać i usprawiedliwiać. Co do swojego to zapewne usprawiedliwiła je sama możliwość wypowiedzenia. Stawało się bowiem, by znów zacytować Kurowickiego „jakby wzniesione ponad codzienność – osobnością aktów przeżycia podmiotu lirycznego”. Cierpieć pięknie, by pisać piękne wiersze, to także - nadawać mu sens i w jakimś stopniu od cierpienia się uwalniać. Przewyciężać poprzez akt kreacji. Ale cierpienie innych? Niezawinione i jak gdyby bezimienne?

Przed laty recenzując kolejne książki autora (zob. „Komunikaty” 1995, nr 6; „Wiadomości Kulturalne” 1997, nr 38) odwoływałem się do wierszy Józefa Czechowicza. I on posiadał bardzo silnie

ugruntowaną świadomość plebejskiego rodowodu, i on zmierzał ku poezji czystej, zwolnionej od społecznych zobowiązań, zakorzenionej w doświadczeniu ale nadającej mu wymiar mityczny, i on – katastrofista! – tak naprawdę kochał sielankę. Wierzył – to ważne – w wysokie posłannictwo poety.

U Sobkowiaka w punkcie dojścia zbiegają się dwie – równouprawnione – wizje:

*Rozstrzygają się ludzkie losy
dni rzeczy i w tajemniczenia
W błysku jednej iskry
na granicy wieczności*

(Iskra)

i

*Snuję się tutaj sam pośród
Zaniedbanych domów
z wyziewami ubogich obiadów
Nic tutaj po mnie by wyjawiać sekrety
Poetów którzy przymierają z głodu
w innym mieście
Gdzie jeszcze im świeci co już
dawno zgasło*

(Widokówka z miasteczka)

Elementy – pisałem wówczas – niepokojąco przypominają motywy znane ze



społecznie zorientowanych wierszy międzywojennych: „uliczki niesłychanie biednych okien”, „ręce urobione w warsztatach”, „zaniedbane bloki”, „wyziewy ubogich obiadów”, „miejsca gdzie zbierają się bezdomni mężczyźni”, aż po obraz: „W foliowej torbie nocą do kubła śmieci / jednodniowe niemowlę wyrzuca beznadziejna matka”. W tym ostatnim zdaniu akcent nie pada na moralną ocenę czynu... To nie matka jest „beznadziejna”, to beznadziejna jest sytuacja, w której się znalazła.

Moglibyśmy powiedzieć, że jest to zjawisko tego samego rzędu co „bezdumni mężczyźni”. Zwykły element nowego świata.

Te wiersze, pisałem w r. 1995 „zapisują końcowy etap długiego procesu społecznego. Kres nadziei, które kryły się w społecznym awansie, ale i aksjologii, która się na nim budowała. U kresu podają stare pytania o determinanty wolności. Zniewolenie. Te same, które niegdyś stawiał Czechowicz pisząc o «ludziach głodnych płaczu» i «wielookich zarosłych twarzach głodów człowieczych» nazywając je «biednymi księżycami spustoszonych wszechrzeczy». Różnica wszakże w tym, iż konstrukcji Sobkowiakowych nie ożywia nadzieja, iż «przez nie runą / mocne twierdze jerycha»”.



Dość wcześnie Sobkowiak odkrył, iż w białej koszuli żyje się wcale nie lepiej niż w kombinezonie roboczym, a i wartości jakby się zrelatywizowały. Teraz odkrywa, że jego miejsce jest wśród wykluczonych i odrzuconych. I że, tak naprawdę, jest równie jak oni bezradni. W pewnym sensie także – odrzucony.

Och, wcześniej, zgodnie z duchem epoki, walczył z „tyranami”. Oblędny władca – pisał – już zna rażącą moc słowa. Pisywał wiersze o Janie Pawle II, z taką oto frazą:

*Jesteśmy wolnością z nami
postać w bieli
Modlitwą zza Alp w Kraju się objawia
(Jesteśmy wolnością)*

Ba, nawet wchodzenie do UE przywitał wierszem:

*Nam śni się Europa
żelaznych bram otwieranie
I dzień taki rozległy że ból się rozwiewa
(*** Nam śni się Europa...)*

Ba, tylko, że to nijak się ma do tego, co symbolizują „bezdumni mężczyźni” i owa „beznadziejna (= pozbawiona nadziei) matka”. Choć może jest i tak, że stanowi awers tej samej monety – niezbywalną i nieusuwalną część systemu.

Z taką diagnozą Sobkowiak pewnie by się nie zgodził. Wołałby mówić o „prawdach niezmiennych” i równie niezmiennych wartościach. Które zapewne da się odkryć, tyle że poza (albo ponad) światem realnych zjawisk społecznych.

Z nim zaś jest tak osobliwie, że jest w dwu miejscach równocześnie. Jego plebejskość to nie wyznacznik kulturowy, ale poczucie więzi, które niegdyś nazywano klasowymi. Jest stamtąd i pozostaje wierny prawdzie doświadczenia, nakazującym stać po stronie odrzuconych i wydziedziczonych. Jest wszakże również z kultury wysokiej, która każe mu niejako ponad działającym się życiem odkrywać wartości, które w nim się nie zamykają.

Ostatecznie prawda i piękno poetyckiego obrazu niekoniecznie muszą być przeciw nędzarzowi umierającemu z głodu, i niekoniecznie zachwył zjawiskowym pięknem świata musi być sygnałem obojętności na jego los. W jednym z wierszy pisze:

*Zdarzało się wiele rzeczy jednego dnia
Ze sobą sprzecznych
Bunt i zgoda
W jakim celu to wszystko
Nie chcę dociekać*
(*Wiatr i ogień*)

Osobliwa jest też jego poezja. Zakorzeniona w widzeniu, wierna prawdzie obserwacji, a zarazem otwarta na transcendencję.

Jest w niej dramatyczne napięcie pomiędzy możliwością i powinnością. Wewnętrzną, własną; pewnie niechcianą. Ale to właśnie napięcie jest siłą jego poezji. Gorzkiej i w pewnym sensie wobec świata bezradnej. Ale nasyconej doświadczeniem o unikatowym kształcie i natężeniu. I równie własnym wyrazie.

Znam tę twórczość od samych początków. Zdaje się, że główne kłopoty autora polegały na tym, jak znaleźć formę dla zapisu doświadczenia, które wyrażało

się natłokiem obrazów. Jeśli porównamy dwie wersje *Ognia* dostrzeżemy, iż druga jest bardziej klarowna, dyskurs jest zwarty i logiczny. Pierwsza wszakże jest bogatsza. Klarując bowiem magmę obrazów coś się traci. Dodatkowo, niekoniecznie dające się przełożyć na dyskurs, sensory. U swych początków była to poezja quasi-oniryczna. Rządziła się raczej zasadą przyległości niż wynikania. Później ową magmę usiłowała poddać rygorowi dyskursu. Zawsze jednak pozostawały cząstki nie dające się doń włączyć, stąd owe wiersze-olśnienia, wiersze-definicje. We wczesnym etapie twórczości byłyby one częściami większej całości. Ale też, zdaje się, wczesne wiersze dążyły do zamknięcia całości doświadczenia, nowsze – jego sekwencji. Raz dyskurs, innym razem doświadczenie epifaniczne, raz obserwacja, innym razem refleksja bądź skierowana do podmiotu mówiącego dyrektywa moralna. To wszystko spaja się zaś w heteronomicznym zbiorze, w którym poszczególne elementy wzajem się dopełniają.

W tym sensie Sobkowiak pozostał taki, jakim był – niepewny i poszukujący. Mający kłopoty tyleż ze światem, co z sobą. I usiłujący im sprostać.

